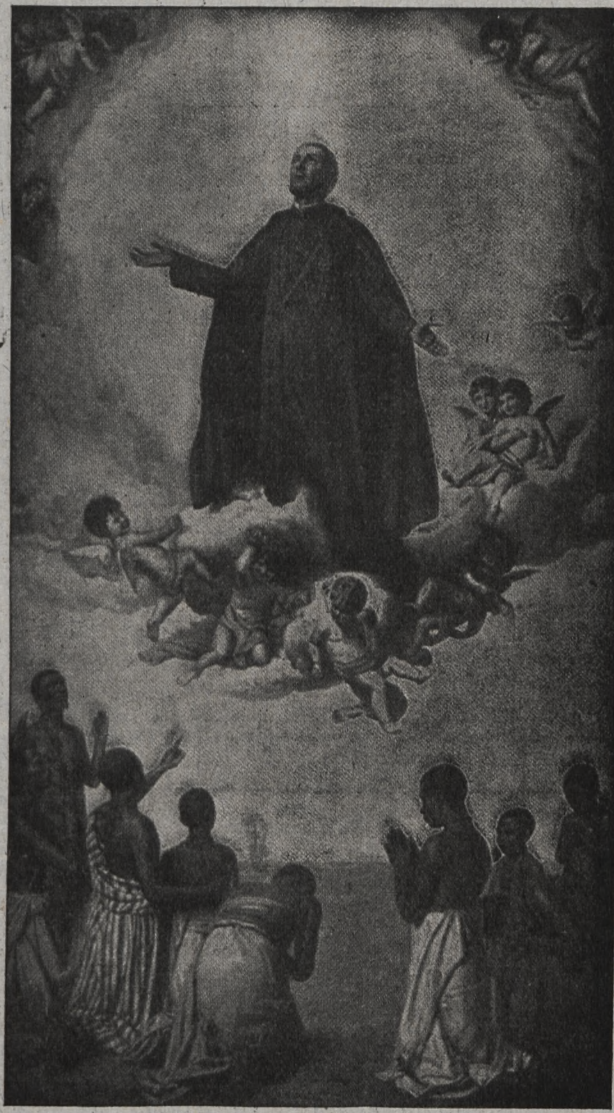
Opłacono ryczałtem
Rok XLIV — Nr. 11 Listopad 1936

Echo z Afryki



Czasopismo ilustrowane
dla popierania misji katolickich w Afryce

Wydawca: Sodalicja św. Piotra Klawera (Klawieriańska) w Krośnie.

ECHO Z AFRYKI

katolickie ilustrowane czasopismo misyjne, błogosławione przez Papieży Leona XIII, Piusa X, Benedykta XV i Piusa XI, wychodzi w rozmaitych językach.

WYDAWCA: Sodalicja Klawieriańska w Krośnie.

Cena: rocznie 2 zł., 2 M.. 60 am. cts. Ofiary na misje afrykańskie można przesyłać do podanych poniżej filii, albo wprost do Generalnej Kierowniczki Sodalicji Klawieriańskiej w *Rzymie*, Roma (123), via dell'Olmata 16.

Adresy filii i biur Sodalicji Klawieriańskiej:

Warszawa I., ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno*, woj. Lw. — *Wilno*, ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Częstochowa*, aleje Najśw. Maryi Panny 79. — *Lwów*, p. Kazimiera Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11 a. — *Kielce*, p. Maria Kasperska, ul. Śniadeckich 1 m. 8. — *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — *Łowicz*, p. Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław*, Hirschstrasse 33. — *Stany Zjednoczone Ameryki półn.:* Sodality of St. Peter Claver, 3624 West Pine Blvd., *St. Louis Mo.* — Dom główny: *Rzym*, Sodalizio di S. Pietro Claver, *Roma (123)*, via dell'Olmata 16.

Numer konta P. K. O.: „Echo z Afryki", miesięcznik.
Warszawa 1.188. — Kraków 142.248. — Poznań 200.015. — Krosno 411.222. — Wilno 80.954.

Ofiary nadesłane (w zł.)

P. J. Jankowska 160.-; M. Urbanowska 10.-; A. Waśniewska 145.-; M. Banasiak 20.-; M. Koszewska 11.-; E. Woyno 50.-; W. Cynkówna 100.36; M. Wiliński 70.-; W. Krajnikówna 30.-; A. Sobaniówna 68.-; J. Majewska 35.-; J. Zambrzycka 10.-; I. Wagnerówna 10.-; p. Choińscy 10.-; M. Mrozowska 26.-; T. Kędzierska 25.-; T. Mongirt 15.-; T. Knaur 10.-; M. Stankiewiczowa 10.30; E. Zdanowska 24.-; H. Wągrowska 15.-; B. Gotartowska 20.-; p. Mleczkowskie 19.-; M. Weinfurter 29.-; M. Zalewska 20.-; p. J. Urpsza z dziećmi 60.-; Z. Dzieżycowa 25.-; F. Lelowska 10.-; T. Osiecka 25.-; Ks. Prałat Lipski, z parafji św. Jakuba w Skierniewicach, składa na misje św. Józefa 100.-; S. M. Piasecka z Płocka 12.-; H. Burdynowicz 25.-; P. Wojciechowska i J. Ziemba 20.-; M. Kasprzykowska 20.-.

Szafran 20.-; Cabaj 30.-; ks. Szydziński 14.-; Gen. Ledó-



O. Gerstner jedzie zaopatrzyć umierającego.

W ostatniej chwili

Przeżycia O. *Jakuba Gerstnera*, benedyktyna z misji Nangoma w kraju Zulusów.

Było to w poniedziałek. Poprzedniego dnia miałem nabożeństwo w Schippersneck. Sławetny koń misyjny wypoczywał, a że jest strasznie łakomy, najadł się za wiele owsa i dostał ataku kolki. Na niedawnych moich wyprawach okaleczały mi dwa konie, a teraz zagrożony był trzeci! Mogłem sobie łacno wyobrazić, jakby mnie przyjął Brat Burser na progu stajni, gdybym się pojawił w domu pieszo — bez konia! Pracowałem więc w pocie czoła całą noc. Nie umiałbym powiedzieć, ile razy kazałem memu łakomemu rumakowi skakać przez drąg. Nareszcie wlałem mu wiadro wody z mydłem i to trochę pomogło.

Zmęczony po tej forsownej kuracji niemniej od mego pacjenta, musiałem rano o 7 pojechać do najbliższej stacji w Kandi. Zastałem tam naszego poczciwego katechistę Andrzeja Sikakane w wielkim kłopocie. I on powrócił był codopiero z dalekiej stacji i zastał moją kartę, w której mu donoszę, że przyjadę tu dziś, by odprawić nabożeństwo. Oczywiście nie zdążył nic przygotować ani uwiadomić wiernych. Odprawiłem więc mszę św. wobec małej garstki ludzi, których udało się pospiesznie zwołać, i pojechałem dalej w kierunku Inkamana. W drodze jednak postanowiłem nieco zboczyć, aby odwiedzić w Kalatschane dotkniętego gruźlicą Józefa. Był on ochrzczony przez jedną z Sióstr, gdy zdawał się być bliski śmierci, lecz że małżeń-

stwo jego nie było w porządku, nie mógł wówczas otrzymać sakramentów św.. Chciałem go zatem upomnieć, aby postarał się o potrzebne papiery, i załatwić teraz tę sprawę. Kiedy jednak wszedłem do chaty Józefa, zastałem go umierającego. Na pół przytomny zaledwie mnie poznał.

Godzina śmierci daje wszelkie uprawnienia. Wydobyłem coprędzej butelkę z mszalnym winem, które opatrznościowo miałem przy sobie, i dałem je choremu. Na chwilę wróciło mu to przytomność. Pospiesznie wyspowiadałem go i przywoławszy towarzyszkę jego życia, udzieliłem im ślubu. Potem nastąpiło ostatnie olejem św. namaszczenie, odpust zupełny i modlitwy przy konającym. Józef był spokojny, ale bardzo wyczerpany. Pożegnawszy się, dosiadłem konia i ruszyłem dalej. Zaledwie zjechałem w dół bardzo stromą drogą, usłyszałem głośny krzyk. To żona biednego Józefa zaczynała zwykłe zawodzenia żałobne. Snać przestał się już męczyć...

W niedzielę byłem w drodze do Entabani. Wołano mnie do chorego. Idąc za wewnętrznym natchnieniem, wybrałem ścieżkę wiodącą przez kraal Mtombela. Miałem tam raz przykre zajście z pewnym zaciekłym odstępcą i nie pragnąłem bynajmniej po raz drugi takiej sceny. Gniewając się sam na siebie, że robię taki zakręt i nadkładam drogi, spiąłem konia ostrogą i tuż pod kraalem zawróciłem ku Tapunabrook. Nagle uszu moich doszedł szczególny jęk — jak gdyby ktoś umierał. Pospieszyłem do kraalu. Mieszkańcy usłyszeli odgłos kopyt końskich, a jedna z chrześcijanek z sąsiedztwa wyszła mi naprzeciw. W kraalu wszyscy zresztą byli poganami. Zsiadłem z konia i po kilku krótkich pytaniach dowiedziałem się, że druga żona naczelnika kraalu, poganka, jest konająca. Wszedłem czym prędzej do niskiej chaty, w której pod ścianami stały czarne, ledwie widoczne postacie. Gdy przysunięto światło nieco bliżej, ujrzałem chorą. Była to może trzydziestoletnia murzynka, jęcząca i stękająca boleśnie, oczy miała już zupełnie przygasłe. Nie miała przytomności.

„Czy mielibyście co przeciwko temu, bym ją ochrzcił?" zapytałem męża umierającej.

„Nie, bardzo wam jesteśmy radzi" — była odpowiedź.

„Czy chora chodziła już kiedy na naukę?" pytałem dalej.

„Nie, ale chodziła często do kościoła razem z chrześcijanami."

Był to dzień św. Anny. Bez zwłoki zabrałem się do świętego obrzędu. „Anno, jeżeli masz wolę po temu, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha św."

Och! gdybym aktem skruchy mógł ją dobrze usposobić! pomyślałem w duchu i pomijając resztę ceremonii zaintonowałem znaną w kraju Zulusów pieśń: *Jesu ngiyakukufela, Jesu ngiyakupiela* (Jezu, żyj we mnie). Wszyscy obecni zawtórowali i śpiewali z zapałem. I o dziwo! umierająca podniosła się, otworzyła oczy i wejrzała na krucyfiks, którzy trzymałem w ręku. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale tego spojrzenia pełnego skruchy i wdzięczności nie zapomnę nigdy. Było to potwierdzenie sakramentalnego aktu. Wysłużyła sobie tę wielką łaskę pilnym chodzeniem do kościoła. Zbawiona dusza w chwilę po chrzcie uleciała do nieba...

Pewnej niedzieli krótko po 9 wieczorem zapukała do mnie sędziwa Rozalia Ngidi, która mieszka o milę od misji.

„Czego sobie życzycie” zapytałem.

„Moja córka umiera”, odpowiedziała staruszka. Nie była ona dobra i nie chciała, byśmy zawołali księdza — ale teraz zmieniła się i sama tego pragnie. Proszę, Ojcze, chodź prędko, może już tym czasem umarła.”

Gdy zacząłem zbierać wszystko, czego potrzeba do ostatniej posługi, mój konfrater, zawsze chętny i uprzejmy, rzekł: „Pozwól Ojcze, ja tam pojadę, to będzie prędzej.” Nie było czasu na ceremoniowanie się, więc powiedziałem poprostu: „Dobrze, jeżeli tam staniesz prędzej, niż ja...”



Zagroda zuluska, połud. Afryka.

i wyprowadziłem mój motocykl, zaświeciłem i ruszyłem w ciemną noc. Konfrater, który dosiadł był konia, zawrócił, ujrzawszy blask mego reflektora. W pięciu minutach dotarłem do kraalu. Umierająca zebrała słabnące siły i zdążyła załatwić wszystko przykładnie. Koń nie byłby przybył na czas. Gdy mój reflektor zabłysnął na powrotnej drodze poniżej wzgórza, dusza wyzwolona z cielesnej powłoki szybowała już w zaświaty — zasilona za łaską Bożą w ostatniej chwili...

Na chwałę O. Albiniego

List O. *Kiegera,* oblata N. M. P. Niepokalanej, wikariat apostolski Kraju Basutów.

Wobec tego że, po ludzku sądząc, nie miałem najmniejszych widoków doprowadzenia do końca budowy kościoła w Pontmain, położyłem cała nadzieję w św. Józefie, w św. Antonim i w przyczynie O. Albiniego, członka naszego zgromadzenia, zmarłego w opinii świętości na Korsyce, gdzie z pełnym poświęcenia męstwem spełniał swoje apostolskie posłannictwo. Do kasetki, gdzie chowałem pieniądze przenaczone na budowę, włożyłem jego obrazek i poleciłem mu moją sprawę. Przy pomocy tych możnych protektorów rozpocząłem budowę i prowadzę ją bez przerwy po dziś dzień jedynie przy ich poparciu.

A teraz posłuchajcie, co zaszło w ostatnich dniach.

Do naszej szkoły misyjnej uczęszczał, bardzo zresztą nieregularnie, pewien chorowity chłopiec pogański, którego żona naszego naczelnika, katoliczka, przyjęła za swego. W marcu przyprowadziła go opiekunka do Siostry infirmerki. Okazało się, że był chory na wodną puchlinę, rozwiniętą już w tak dalekim stopniu, że nie było mowy o domowym leczeniu. Doradziliśmy więc kobiecie, ażeby go oddała do rządowego szpitala w Leribe. Ale Angelina — bo takie było jej imię — nie posłuchała oczywiście naszej rady, jak przystało na prawdziwą córę szczepu Basuto, zwłaszcza że tubylcy boją się noża operacyjnego jak śmierci. Pielęgnowała go sama w domu, jak umiała, czekając, aż go Pan Bóg sam albo uzdrowi, albo zabierze do siebie.

W Zielone Świątki wybrałem się z komunią św. do chorych w tamtejszej wiosce. Angelina skorzystała ze sposobności i pokazała mi swojego wychowanka, leżącego na nędznym barłogu w kącie chaty. Puchlina doszła już do brzucha i odnosiło się wrażenie, że wprost w oczach posuwa się coraz dalej, ażeby położyć jak najprędzej kres niewymownym cierpieniom chorego. Okropny wyraz twarzy,

zamglone oczy i zapadłe policzki wskazywały, że mu już niewiele pozostaje życia. Angelina zgodziła się chętnie na chrzest chłopaka, a on sam zapytany oświadczył, że niczego więcej nie pragnie. Na poczekaniu pouczyłem go, co było można, i ochrzciłem, dając mu wraz z łaską poświęcającą imię Piderosi. Następnie odezwałem się do opiekunki: „Wobec takiego stanu tylko cud może przywrócić chłopcu zdrowie. Posłuchaj więc mojej rady. Jeden z naszych zmarłych misjonarzy, którego sprawa toczy się już w Rzymie, wyjednywa dużo łask... Odpraw więc do niego nowennę na intencję wyzdrowienia chłopca. Bóg jest dobry...” Angelina obiecała, że będzie odmawiała na tę intencję codziennie wieczorem 5 Ojcze nasz i 5 Zdrowaś ku czci O. Albiniego.

Kiedy po dwutygodniowej nieobecności wróciłem do misji, zjawiła się u mnie Angelina i oświadczyła, że Piderosi został uzdrowiony. Ponieważ dobrze znam skłonność do przesady u tubylców, postanowiłem się przekonać naocznie i w tym celu wybrałem się na drugi tydzień do wioski naszego naczelnika. W toku rozmowy z jego żoną wszedł niespodziewanie jakiś rześki chłopak, którego wziąłem za całkiem obcego przybysza. „Czy poznajesz, Ojcze, tego chłopaka?” zapytała Angelina. Zmierzyłem go wzrokiem od stóp do głowy, ale w żaden sposób nie mogłem go sobie przypomnieć. „Toż to Piderosi, ten chory, któregoś niedawno ochrzcił!” Nie mogłem przyjść do siebie z podziwu i nie chciałem wierzyć uszom ani oczom na widok takiej zmiany. Angelina objaśniła mnie, że zaraz w trzecim dniu nowenny woda zaczęła się obficie wydzielać, a przy końcu nowenny zaczął Piderosi wstawać o własnych siłach i wysiadywać na słońcu przed chatą wraz z całą rodziną. Odtąd już szybkim krokiem powracał do zdrowia i sił.

Oby to zdarzenie przyczyniło się do chwały Bożej i do nawrócenia Basutów !

Mikroskop na usługach misji

O. *Beat Iten,* benedyktyn z Litembo (Peramiho).

Przed kilku dniami odkryłem przy pomocy ofiarowanego przez Was mikroskopu zarazki śpiączki. Jest to pierwszy wypadek tej strasznej choroby zaobserwowany w tych stronach. Ofiarą jej padła kobiecina, matka trojga dzieci. Natychmiast zamówiliśmy tak reklamowany dzisiaj środek: „germanin" (Bayer 205) i mamy nadzieję, że przy jego pomocy uratujemy matkę dzieciom. Nieocenione usługi oddaje wasz mikroskop przy rozeznawaniu malarii w różnych fazach jej rozwoju, przy febrze powrotnej, śpiączce i wielu innych.

O. *Leodegar Olbrecht,* benedyktyn, który przedtem był w Litembo, a obecnie przebywa w Nangombo, wspomina także o znakomitych usługach, jakie świadczył mikroskop na poprzedniej placówce. Pisze on tak: Mam nadzieję, że mi nie weźmiecie za złe, jeżeli w tym miejscu ponowię moją prośbę o pomoc w urządzeniu szpitala tu w Nangombo, tak jak to uczyniliście w Litembo. Siostry pielęgniarki poleciły mi, jako najbardziej piekącą sprawę, nabycie mikroskopu, ponieważ tutaj nad jeziorem w żaden sposób nie można się bez niego obejść. Wobec tego że niektóre choroby, jak np. malarię, śpiączkę, febrę i t. p. można rozróżnić jedynie przy pomocy mikroskopu, zdarzały się w ubiegłych latach wypadki, że wskutek mylnej diagnozy stosowaliśmy całkiem fałszywe środki. Mikroskop, ofiarowany przez Sodalicję św. Piotra Klawera do Litembo, oddaje dotąd nieocenione usługi.



Misja Litembo.

Apostoł i artysta

Kilka słów o O. *De Hovre,* oblacie Niepokalanej, według szczegółów, dostarczonych nam łaskawie przez jego zakonnych współbraci.

Dnia 13 stycznia br. zasnął przedwcześnie w Panu w 57 roku życia O. De Hovre, oblat Niepokalanej, a z nim ubył wielki apostoł murzynów i trędowatych, niestrudzony bojownik za sprawę misji.

Urodzony w Ledeberg, w pobliżu Gand, pochodził Kamil De Hovre ze szlacheckiej rodziny francuskiej, wygnanej w czasie Wielkiej Rewolucji. Po swoich dostojnych przodkach odziedziczył młody Kamil tylko sławne imię i rycerskie usposobienie. Należał on do rodzaju tych bohaterów, którzy dzięki swojemu męstwu dali początek rycerstwu krzyżowemu. Ponieważ warunki materialne zmuszały go do oglądnięcia się za jakąś korzystną posadą, poświęcił się stosownie do swoich zdolności i zamiłowania muzyce. Jako jeden z najlepszych uczniów Sebastiana Bacha otrzymał posadę organisty przy kościele parafialnym w Renaix. Jego talent, rokujący najpiękniejsze nadzieje na przyszłość, zabłysnął tutaj w całej pełni.

W tym czasie nadarzyła się sposobność zawarcia świetnego związku małżeńskiego. Kamil sądził początkowo, że Opatrzność powołuje go rzeczywiście do założenia ogniska rodzinnego, wkrótce jednak przed oczyma jego duszy zarysowały się szersze widnokręgi, jego gorliwości nie wystarczało ograniczone kółko rodzinne. Z daleka dochodziły do jego uszu jęki biedaków i nieszczęśliwych, ogołoconych ze wszystkich dóbr doczesnych i wiecznych. Biec im z pomocą, oddać się z ciałem i duszą na ich usługi za wzorem Boskiego Mistrza stało się jego marzeniem. Celem wprowadzenia tego ideału w życie wstąpił do Oblatów Niepokalanej.

Po wyświęceniu na kapłana wysłano go na misje afrykańskie do Transwalu. Tutaj pobudował kilka kościołów, szkół i szpitali. Mieszkał sam jeden, bez służącego, i sam sobie prowadził domowe gospodarstwo. Jego posiłki były w całym tego słowa znaczeniu posiłkami ascety. Opieką iście ojcowską otaczał zarówno białych jak i boerów, szczególniejszą jednak troskliwość okazywał czarnym, a spośród nich nieszczęśliwym trędowatym. Dla nich miał serce wprost macierzyńskie i wysilał swój umysł, ażeby im sprawić radość bodaj drobnym podarkiem. Nad umierającymi pochylał się z miłością mimo zaraźliwego smrodu, wydobywającego się z ropiejących ran. To też nic dziwnego, że chorzy znosili swój krzyż z większą niż zwykle cierpliwością i umierali z oznakami pewnego zbawienia.

Pewnego razu przechadzał się z przyjacielem p. Wilmet nad brzegami jeziora Genwal. W czasie rozmowy wymknęło mu się z ust bohaterskie oświadczenie, godne jego współrodaka O. Damiana, którego czcigodne szczątki wróciły niedawno do ojczyzny. Opisując opłakane położenie trędowatych, zatrzymał się nagle i wyciągając przed siebie ręce, rzekł powoli przyciszonym głosem, jak gdyby chciał podkreślić wagę swoich słów: „Oświadczyłem lekarzom, że jestem gotów pozwolić zaszczepić sobie trąd, jeżeli się to może przyczynić do odkrycia uzdrawiającego zastrzyku.” W tej gotowości na ofiarę jaśnieje w całej pełni prawda, że najwyższym stopniem miłości jest poświęcenie własnego życia za tych, których się kocha.

O. De Hovre założył, jak wyżej wspomniano, kilka misji, należą tu: Aleksandra, Lady Selbourne, De Wildt, Borsbrand i Hamanskraal. Wspominał o nich stale w swojej francuskiej i angielskiej korespondencji oraz w pięknych i wzruszających opowiadaniach, jakie często przysyłał Sodalicji św. Piotra Klawera dla jej wydawnictw. Pióro było w jego ręku tylko jednym ze środków apostołowania. Jeszcze po śmierci znaleziono w pozostałych po nim papierach gotowy do druku rękopis. We wszystkich jego artykułach wyczuć można jego wielkie serce. Prawie w każdym z nich znajduje się wzmianka o jakiejś wzniosłej ofierze, o jakichś bohaterskich wysiłkach apostolskich, o wielkodusznej zgodzie z wolą Bożą lub o jakimś wyrzeczeniu się samego siebie w intencji nawrócenia grzeszników.

Jako wybitny muzyk wydał kilka własnych kompozycji, które mu zjednały ogólne uznanie. Spośród ostatnich wystarczy wymienić kilka hymnów do Małej św. Teresy, przełożonych następnie przez niego samego na język tubylczy. Ponadto wydał piękną mszę na dwa głosy: *Sursum corda.*

Od roku rezydował O. De Hovre w ostatniej założonej przez niego misji Hamanskraal, oddalonej o 40 km od Pretorii. Dnia 6 stycznia poczuł się trochę niezdrów, a 10 stycznia zażądał drugiego Ojca do pomocy. Kiedy się zjawił wezwany do pomocy Ojciec, O. De Hovre oświadczył mu, że się czuje lepiej i jutro, w niedzielę, będzie już mógł celebrować. Niestety w niedzielę nie mógł przystąpić do ołtarza, ponieważ choroba się wzmogła i opiekujący się nim Ojciec odwiózł go zaraz po nabożeństwie do Pretorii. Tego samego dnia koło g. 5 po południu lekarz, widząc jego osłabienie, polecił go przewieźć do sanatorium w Johan-

nesburgu, gdzie opiekę nad chorymi mają Siostry ze Zgromadzenia Najśw. Rodziny. Po przybyciu do sanatorium chory zemdlał. Noc minęła spokojnie. Nazajutrz 13 stycznia zaraz po południu gorączka gwałtownie się podniosła. Przy łożu chorego zebrali się bracia zakonni z ks. biskupem O'Leary, wikariuszem apostolskim, na czele. Cho-



Kobieta zuluska z ozdobą na głowie.

ry przyjął z całą przytomnością umysłu sakramenta św. i koło g. 4 oddał Bogu ducha.

Smutna wiadomość o śmierci O. De Hovre rozeszła się lotem błyskawicy, wywołując wszędzie zdziwienie i szczery żal. Sami nawet muzułmanie wyrażali się o nim: „Co to był za dobry Ojciec!... Co za nadzwyczajny człowiek!... A co za kapłan?!"

Nabożeństwo pogrzebowe odprawiono w Pretorii, gdzie O. De Hovre pełnił swe obowiązki kapłańskie przez 21 lat.

Setki tubylczych mężczyzn, kobiet i dzieci tworzyło szpaler wzdłuż drogi, którą przechodził orszak pogrzebowy. Wszyscy chylili głowy albo klękali, ażeby w ten sposób okazać zmarłemu swoją cześć i wdzięczność. Wielu uczestników tej uroczystości przybyło z dalekich stron.

Mszę św. i ceremonie pogrzebowe odprawił ks. Biskup w otoczeniu 40 kapłanów. Kościół był nabity, a w pochodzie pogrzebowym wzięły udział nieprzejrzane tłumy. Po skończeniu modłów liturgicznych tubylcy otoczyli otwarty grób i odśpiewali kilka pieśni, ułożonych przez zmarłego Ojca.

Warto tutaj przytoczyć na zakończenie wielce charakterystyczne słowa, jakie wyrzekł po pogrzebie ks. Biskup: „Do zastąpienia O. De Hovre nie wystarczy jeden człowiek."

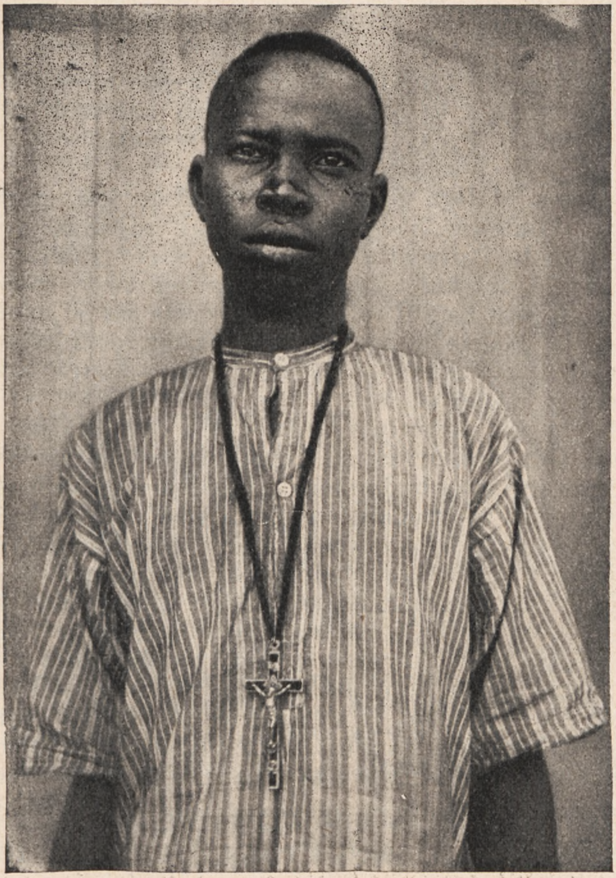
Przyczyną śmierci, jak wykazała analiza krwi, była złośliwa malaria.

Otruto katechistów!

Ileż to razy wspominają listy misjonarzy o podobnej zbrodni! Jest to zazwyczaj akt zemsty ze strony czarowników lub żyjących w wielożeństwie krajowców. A katechiści nasi giną jak prawdziwi męczennicy! Ks. bp. *Cessou* — ze Stow. Misjonarzy w Lyonie, wikariusz apost. Togo, donosi o dwóch takich wypadkach.

Katechista Daniel Colley został otruty przez czarowników za uwiadomienie mnie, że dwie dziewczynki chrześcijanki zamknięto przemocą w ich seminarium. Uzyskałem ich uwolnienie po przeprowadzeniu urzędowego śledztwa, które wykazało, że znajdowały się tam wbrew swej woli. Zaledwie jednak wydostały się na swobodę, gdy je ponownie — jeszcze tego samego wieczora — pochwycono. Dowiedziawszy się natychmiast o tym dzięki katechiście Danielowi, wniosłem nowe zażalenie. Dziewczynki wypuszczono. Wkrótce jednak uprowadzono je po raz trzeci. Uwiadomiony o tym gwałcie znowu przez Daniela, udałem się po raz trzeci do gubernatora, który tym razem mocno się oburzył i nakazał surowo, by dopilnowano jego rozkazów. Gdy wszakże kilka miesięcy potem gubernator wyjechał do Francji, czarownicy uznali, że to pora odpowiednia do wznowienia dawnych machinacji. Nieszczęsne dziewczynki dostały się znowu w ich ręce. Otrzymawszy wieść o tym od Daniela, poszedłem do nowego gubernatora. Tym czasem zastraszono biedaczki. Przy przesłuchaniu powiedziały istotnie, jakoby w zakładzie by-

ły z własnej woli. Na to złożyłem gubernatorowi raport o całej tej sprawie, zaznaczając, że jeżeli dziewczynki nie zostaną uwolnione, to wniosę zażalenie do Ligi Narodów



Dzielny katechista.

o pogwałcenie osobistej wolności. Pomimo gorących protestów czarowników, zwłaszcza jednego z nich, będącego przyjacielem nowego gubernatora, dziewczynki oswobodzono.

Za pierwszym razem czarownicy grozili Danielowi trucizną (mnie również), za drugim wykonali swój zamiar — nie natychmiast, lecz dopiero wtedy, gdy się zdawało, że rzecz poszła w zapomnienie. Daniel nie miał od początku żadnych złudzeń, wiedział, że jest skazany na śmierć. Gdy

mu O. Chazal zaproponował przeniesienie do innej misji, odpowiedział: „Nie — ja znam ich chytrość i podstępy — zostanę na posterunku...”

Mówiono mi, że już dawniej — za czasów Ojców ze Steyl — czarownicy otruli jednego katechistę: Arnolda Fumey.

O. Brungard z misji w Kabrai przysłał mi w rękopisie historię świętą i katechizm w języku kabrajskim. Czy wasz Związek Prasy Afrykańskiej zechciałby się zająć drukiem tego podręcznika?

Sprawa Małego Seminarium w Togo jest na dobrej drodze. Ponieważ budujemy je sami, odpadną wydatki na architekta i przedsiębiorcę. Plan, który zainteresował Ojca św. i uzyskał jego błogosławieństwo, zapowiada gmach główny na 101 m i dwa skrzydła na 50 m. Piętra nie będzie. Będzie to tzw. wysoki parter, podniesiony na 80 cm do 1 m. Szerokość wyniesie 7 m — z trzymetrową werandą z każdej strony.

Dawno już zaprzątała mnie myśl o tym Małym Seminarium. Gdy przybyłem do Togo, miałem do załatwienia, tyle reparacji przy budynkach, zaniedbanych podczas wojny światowej, że musiałem z tamtą sprawą zaczekać, tym więcej że trzeba było zakładać stacje misyjne na północy. Uczniowie z Wielkiego Seminarium będą dalej uczęszczali do Wielkiego Seminarium w Onidah. Nasi chrześcijanie, którzy dawno czekają na Małe Seminarium, pomogą mi niezawodnie mimo kryzysu, gdy ujrzą wznoszące się chyżo ogromne dzieło. Mury będą rosły w miarę środków. Naprawdę nie myślałem, że to pójdzie tak szybko. Słusznie Ojciec św. powiedział na ostatniej audiencji, jakiej mi raczył udzielić: „Zacznijcie i ufajcie; trzeba mieć ufność.”

Co to jest Związek Prasy Afrykańskiej?

Jest to w łonie Sodalicji św. Piotra Klawera istniejący związek ludzi dobrej woli, katolików oświeconych a gorliwych, którzy zrozumiawszy wielką doniosłość prasy katolickiej w dobie obecnej, przyczyniają się do zapewnienia tejże prasy nowonawróconym murzynom. Roczne wkładki członków tego Związku (5.- zł.) pokrywają koszta druku książek religijnych dla murzynów, które drukują misjonarki pomocnice we własnych drukarniach i wysyłają misjonarzom. Zbożna to rzecz zapisać się na członka Związku Prasy Afrykańskiej. Nie odkładajmy tego do jutra!

Jestem gotowa!

O. B. J. *Mac Loone*, Stow. Misyjne Mill Hill. Osiedle trędowatych Nyenga, Uganda.

Wczoraj odwiedzałem naszych wiernych, mieszkających w wioskach oddalonych około sześć mil od Nyenga. Po drodze zaglądałem też do protestantów, mahometan i oczywiście do pogan. Droga była bardzo uciążliwa — skalista i górzysta — a często zarosła zupełnie wysoką trawą.

Natknąłem się w tej swojej wędrówce na starowinkę protestantkę, która liczyła około 75 lat. Z początku była moim widokiem bardzo zdenerwowana, a raczej wystraszona. Zacząłem się pytać o jej chorobę, o jej wiek, czy nie mógłbym jej w czym pomóc itp. Po chwili zupełnie się zmieniła wobec mnie i przyjaźń była zawarta. Na pytanie, czy nie chciałaby się ochrzcić po katolicku, wejrzała na mnie i milczała z dziesięć minut. Potem znów spojrzała i słabym głosem rzekła: „Sebo (Ojcze), jesteś człowiek Boży, posłany do mnie przez Boga. Przebyłeś długą drogę poprzez góry i skały. Cokolwiek chcesz, bym uczyniła, powiedz, a jestem gotowa."

Pouczyłem ją krótko o głównych prawdach naszej religii i kazałem jej to powtórzyć. Potem ochrzciłem ją ze wszystkimi przepisanymi ceremoniami i wysłuchałem jej pierwszej a może i ostatniej spowiedzi. Nie posiadała się z radości. Dałem jej medalik Matki Boskiej. Przed chrztem odmówiła Credo i wyrzekła się błędów protestanckich oświadczając, że chce zostać katoliczką i umrzeć jako katoliczka. Poczciwa starowinka. Musiałem się uśmiechnąć, gdy otrzymawszy przy chrzcie sól, wejrzała na mnie i rzekła: „Sebo, ta sól jest bardzo smaczna, nie mógłbyś mi dać więcej?"

Proszę o króciutką modlitwę za nią, jeśli łaska...

Żaden sługa nie może dwom panom służyć,

bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo z jednym trzymać będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie." (Łuk. 16, 13.)

Ileż razy, droga Czytelniczko, doświadczyłaś na sobie słów Chrystusa Pana? — Od dawna już czujesz w swym sercu pociąg do życia doskonalszego, tęsknisz za czymś idealniejszym i z podziwem spoglądasz na przykłady dusz wielkich, bohaterskich. Chciałabyś tak jak one oddać się całkowicie Panu Bogu, dla Niego tylko żyć i ofiarować wszystkie swe siły, a nawet i życie, by jedynie On był kochanym i wielbionym.

Obecne twe życie wydaje ci się pustym i smutnym, świat

ze swoimi złudami budzi w twej duszy niesmak i niezadowolenie. Czujesz, że nigdy nie znajdziesz w nim prawdziwego szczęścia. — I serce twoje, biedne i niespokojne, nie wie, na co się zdecydować. Słyszysz coraz wyraźniej wołający cię głos Boży, ale nie wiesz, dokąd cię woła i gdzie masz się zwrócić...

W tej niepewności i rozterce duchowej niechaj ci będzie pomocą i przewodnikiem książeczka p. t. *„Powołanie misjonarki-pomocnicy dla Afryki"*, napisana przez Służebnicę Bożą Marię Teresę Ledóchowską dla panien, które mając powołanie do stanu zakonnego, pragną poznać, dokąd je Bóg w Swojej dobroci powołuje.

Zamów ją jeszcze dzisiaj pod jednym z adresów Sodalicji Klawieriańskiej, podanych na 2. str. okładki. 50 gr. (10 cts.)

Jaką rolę odgrywa lew w życiu czarnego poganina

S. *Krystiana,* służeb. N. M. P. Chingombe.

Lew, król pustyni, odgrywa ważną rolę w życiu czarnego poganina. W pojęciu jego jest on nie tylko przedstawicielem groźnej potęgi świata zwierzęcego, z którym nie może pójść w zawody żaden drapieżnik, lecz także i przede wszystkim istotą, w którą wcielają się duchy zmarłych naczelników.

W przekonaniu czarnego duchy zwykłych śmiertelników odchodzą w zaświaty do towarzystwa przodków, inne, złe, za karę przemieniają się w małpy, które wiecznie wędrują po lasach nie zaznając pokoju, natomiast duchy panujących, naczelników, nie przechodzą nigdy w stan poddańczy, ale Najwyższy Duch każe im zatrzymywać władzę i po śmierci.

Zatem każdy naczelnik przybiera po zgonie postać lwa, który obdarzony władzami ludzkimi opiekuje się nadal swoimi poddanymi.

Przemiana ta odbywa się przy pomocy czarowników, poza tym nikt z niewtajemniczonych nie może być obecnym przy podobnym akcie.

Gdy taka osobistość umrze, trupa sadzają na krześle w nowowybudowanej chacie, gdzie siedzi i rozkłada się dopóty, dopóki czarownicy nie wypełnią wszystkich ceremonialnych zaklęć, które trwają nieraz i trzy tygodnie. Przemianie na lwa podlega tylko ciało, w które wciska się duch nieboszczyka, kości zaś grzebie się w dole na środku chaty, w której znękany i umęczony pielgrzymką pozagrobową lew-duch znajdzie spokój i odpoczynek.

Pierwszą czynnością lwa będzie pójść do duchów

zmarłych poddanych i zanieść im pozdrowienie od żyjących potomków. Następnie którejś nocy wróci do wioski i lekkim rykiem da znać mieszkańcom, że odtąd zaczyna nad nimi opiekę zza grobu.

Gdy poddani lub następca naczelnika dopuszczą się jakiejś winy, niedługo lew-duch zjawia się podczas nocy, aby rykiem okazać swój gniew i upomnienie. Po takim „upomnieniu" czarni posypują głowy popiołem, duchowi zaś na „przeprosiny" stawia naczelnik w chacie ducha kozę, kurę i garnek piwa.

Gdy do tygodnia lew-duch przyjdzie i „spożyje" te ofiary, jest to znak, że wina przebaczona. Piwo oczywiście zawsze zostaje, gdyż lew piwa nie lubi, ale czarownik i na to poradzi. Orzecze, że duch nie był spragniony, a piwo wyleje na ziemię uświeconą jego łapami. Lecz biada, gdy nie wróci, tylko pójdzie w inne strony — wtenczas nie przyjął przeprosin i wina ciąży dalej, zatem za wszelką cenę trzeba ducha zwabić i koniecznie przeprosić. Ten obowiązek znów spełniają czarownicy.

Lew-duch jest pełen dobroci. On nie zjada ludzi, ale tylko zwierzynę. Jest również mądry i przezorny, wie gdzie czyha na niego niebezpieczeństwo, zresztą to duch, — zabić go nie można.

Gdy znajdą w lesie niedojedzone mięso z jakiejkolwiek zwierzyny, są przekonani, że to zostawił lew-naczelnik dla nich jako oznakę opieki i upominek. Zabierają je więc z wielkim pietyzmem i dzielą się nim wszyscy, chociażby to był najmniejszy kawałek, on bowiem daje moc i lwią siłę.

W naszej misji już kilku tych drapieżników zatruto, lecz to wszystko „zwyczajne" lwy. Dwa z nich pewnej nocy zakradły się do stajni i zabiły przeszło 30 owiec, czarni jednak rozpoznali, że to nie byli „naczelnicy". U starszych ten przesąd mocno jest zakorzeniony, lecz młodsza generacja już się z tego śmieje.

Módlcie się kochani Czytelnicy, aby światło Bożej nauki rozpraszało jak najprędzej te zabobonne ciemności pogaństwa.

Łaski przypisywane wstawiennictwu Marii Teresy Ledóchowskiej

Najśw. Maryi Pannie, Matce Najśw. Serca Jezusowego, która za przyczyną śp. M. T. Ledóchowskiej wysłuchać mnie raczyła, składam niniejszym najgorętsze podziękowanie za uproszenie mi wyzdrowienia z grypy i z zapalenia spojówek prawego oka. Na grypę zapadałam w roku bieżącym aż dwa razy. Pierwszym razem za przyczyną śp. M. T. Ledóchowskiej

bez pomocy lekarza dziwnie prędko wyzdrowiałam. Drugim razem, na początku kwietnia, chociaż choroba była cięższa i dłużej trwająca, tak samo bez pomocy lekarza wyzdrowiałam. — Równocześnie chorowałam na oko. Z powodu wysokiej gorączki nie mogłam jechać do lekarza-specjalisty (mieszkam na wsi), więc używałam wody od Matki Boskiej Chełmińskiej, przykładałam do oka relikwie śp. M. T. Ledóchowskiej, jako też stosowałam środki domowe, jak np. rumianek. Oko było całe czerwone, tj. nie tylko powieki, lecz i gałka oczna, zapuchło, a szpary między powiekami zasklepiły się. — Gdy po tygodniu gorączka minęła, zmuszona pracować, czytałam jednym okiem, a później, gdy chore oko się cośkolwiek otworzyło, obydwoma. Pomimo to wzrok nie został uszkodzony, jak to zwykle przy takich zapaleniach bywa. Widzę obecnie tak samo dobrze jak dawniej. Dołączam świadectwo lekarza, do którego dopiero w końcu miesiąca kwietnia, gdy już zapalenie przechodziło, się udałam. Równocześnie dziękuję śp. M. T. Ledóchowskiej za wszystkie łaski, które mi już wyprosiła, zaznaczając, że nigdy się do niej na próżno nie uciekam.

Z wdzięczności posyłam zapomocą blankietu skromną ofiarkę na misje w Afryce, polecając się nadal potężnej opiece Najśw. Maryi Panny oraz przyczynie świątobliwej Sługi Bożej śp. M. T. Ledóchowskiej. *M. G., Nauczycielka - zelatorka Sodalicji św. Piotra Klawera — Następuje odpis świadectwa lekarskiego.*

P. *Maria G.* cierpiała na ostre zapelnie spojówek prawego oka. Stan obecny ani dla oka, ani dla wzroku nie jest groźny. *Dr. M. J.*

Brodnica, dnia 30. IV. 36 r. *specjalista chorób oczu.*

P. Marcjanna Cz. z Wilna dziękuje M. T. Ledóchowskiej za pomoc w wybrnięciu z bardzo trudnej sytuacji. Przesyła zł. 1.- na beatyfikację z prośbą o zdrowie.

Dziękując za łaski otrzymane przez wstawiennictwo M. T. Ledóchowskiej, składam ofiarę na misje zł. 20.-. *Ks. R. K.*

Dziękuję za pomoc w powstaniu z ciężkiej choroby i inne łaski uzyskane za wstawiennictwem świątobliwej M. T. Ledóchowskiej. *Ks. Miron W., Rektor R.*

„Miałam kłopot i zmartwienie, bo mi zagrażała utrata pieniędzy ulokowanych na hipotece. Poleciłam tę sprawę Bogu i przyrzekłam, że jeśli je odzyskam za wstawieniem waszej opiekunki ś. p. M. T. Ledóchowskiej, to złożę ofiarę na misje afrykańskie. — Częściowo już odzyskałam i uiszczam sie z przyrzeczenia posyłając $ 5 na misje św. i na większą cześć Boga i Matki Najśw., oraz protektorki naszej ś. p. M. T. Ledóchowskiej. *Z. B., Chicago, Ill.*"

ODPUST ZUPEŁNY

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera:

30 listopada w dzień św. Andrzeja apostoła.

Redaktor odpowiedzialny Marja Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie.

chowski 10.-; Synowiec 10.50; Bebiołka 116.-; Bochenek 11.-; Dumańska 9.-; Lamers 5.-; Felsztyńska 6.-; Zasadzińska 5.-; Brab. 5.-; Łukasiewicz 15.-; Adamczyk 75.-; Wilczyńska 5.-; Buraczek 6.-; Krawczyk 5.-; NN. 5.-; Kotlarska 5.-; Sikora 5.-; Krawczyk K. 5.-; Kuzak 6.58; NN. 30.-; Jadowska 5.-; Stankiewicz 5.20; Szymczak 9.-: ks. M. i J. T. 80.-; Hausmann 18.-; Bieniek 9.-; Wanertowa 100.-; Sorbowa 50.-; Hempel 25.-; Pawłowicz 50.-; Pitas 50.-; Głuszek 10.-; ks. Feliks 20.-; Babicz 5.-; Bednarczyk 5.-; Węgrzyn 5.-: Rożańscy 14.-; Kulińska 10.-; Cebulajka 150.-; Łukasiewicz 10.-; Łukasińska 20.-: Kowalczyk 40.-; Drabówna 5.-; Kwiatkowska 5.-; J. Ł. 32.-: Szafran 14.-; NN. 5.-; Turnau 6.-: NN. 5.-: Lubeccy 50.50; Sedlak 20.-; Kowalski 5.-: S. Stanisława 48.-; Wypasek 30.-; Ziębowa 44.-; Kuzak 9.14; Stachowicz 16.-; Kamudowa 5.05; Konopińska 5.-; NN. 100.-: Kuzielowa 30.-; Cichoniowie 5.-; NN. 8.-: Paluchowska 25.-; Trojan 10.-; Piotrowicz 6.-; Polaczkowa 20.-; Świtkowska 20.-: Jakatz 22.-; Czajkowa 10.-; Kusinowa 57.-; Hańka 16.-: ks. Kowalczyk 60.-: Leżańska 5.-: Szymberska 5.-: ks. M. i J. T. 80.-; Urz. Paraf. Skoczów 55.-: Skrzypiec 10.-; Köhlowa 5.-; Faliński 5.-: Jaszczyńska 5.-: Mińkowska 6.-; Kowalewska 5.-; Lamers 14.55: Jakac 28.50: Sowianka 20.-: Dziurzanka 5.-: Różańscy 15.-; Cebulajka 36.-; Czajkowa 10.-; Łukasińska 20.-.

Z Wilna: P. Józefa Wojtkiewicz na Chleb św. Antoniego 5.-; p. Helena Brochocka na chrzest chłopca murz. imię Józef lub Jan 20.-.

Sodalicja św. Piotra Klawera

została założona w r. 1894 przez hr. M. T. Ledóchowską, za wyraźnym zezwoleniem Papieża Leona XIII; w r. 1910 otrzymała Sodalicja ostateczne zatwierdzenie Stolicy św.

1) *Cel Sodalicji.* Współpraca w nawracaniu murzynów przez wspieranie wszystkich misji afrykańskich.

2) *Organizacja.* Instytut religijny (misjonarek-pomocnic dla Afryki), z którym współpracują osoby świeckie: eksterniści i zelatorzy (eksternistki i zelatorki).

3) *Środki do osiągnięcia celu.* Zorganizowana, stała propaganda słowem i piórem celem szerzenia ducha misyjnego wśród katolików, budzenia powołań misyjnych i zbierania jałmużny w pieniądzach i przedmiotach.



Miłość za miłość

W miesiącu dusz czyścowych, żywszą staje się w nas pamięć o drogich zmarłych, którym może dużo mamy do zawdzięczenia. Zdobimy ich mogiły, modlimy się o spokój ich duszy. Radzibyśmy przyśpieszyć chwilę, w której wolno im będzie oglądać Boga.

Tu z potężną pomocą przychodzi nam

Związek Mszalny dla Afryki.

Zapewnia on duszom udział w *300 Mszach świętych rocznie*, w owocach Ofiary Chrystusowej, z których czerpać będą bezustannie.

Czyż odmówimy drogim zmarłym tej przysługi, która przecież tak niewielkiej ofiary wymaga z naszej strony? Wpis jednorazowy wynosi od osoby tylko 1 zł., i to raz na zawsze. Myśl, żeśmy tego zaniedbali, skoro Opatrzność nasunęła nam wiadomość o Związku mszalnym lub przypomniała nam o jego istnieniu, nie dałaby nam spokoju: usłuchajmy więc dziś jeszcze tego dobrego natchnienia. Wpiszmy dusze drogich nam zmarłych do tego Związku: dusze ich wyglądają z utęsknieniem końca czyścowej próby i liczą na naszą pomoc.

---

† Memento za Zmarłych.

O. Józef ze zgrom. OO. od Ducha św. (Dakar).

Ks. Teofil Chciuk. — Ks. Proboszcz Tomasz Migasiewicz. Ks. Proboszcz Ferdynand Widlarz. — Ks. Kanonik Józef Migdałek. — Ks. Proboszcz Marcin Bojek. — Ks. Kanonik i Proboszcz Jankiewicz. — Ks. Kanonik Kacper Mazur, Proboszcz katedralny. — Ks. Proboszcz Edmund Chlewiński. — Walenty Grus. — Leopold Topornicki. — Ludwik Ostrowski. — Jadwiga Wojciechowska. — Aleksander Cieniak. — Michalina Karol. — Marta Latos. — Konrad Mrass. — Maria Golińska, długoletnia prenumeratorka i zelatorka. — Aleksandra Kaniewska.

Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie!